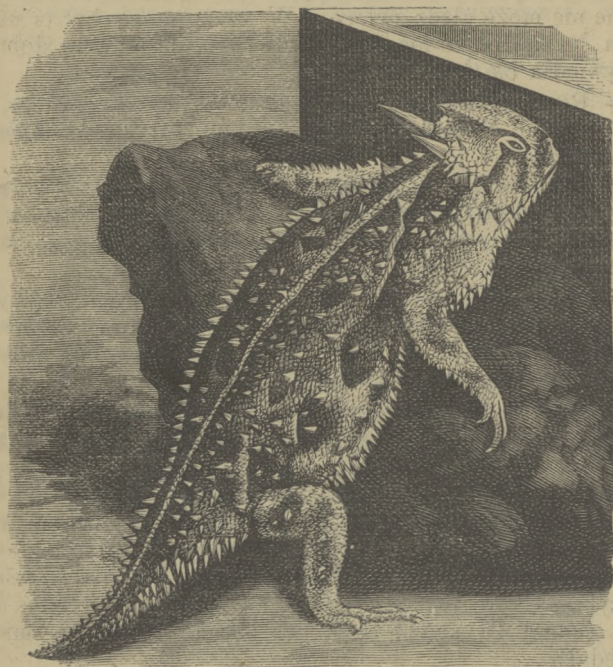




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



JASZCZURKA AMERYKAŃSKA.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej żyje jaszczurka zwana *Phrynosoma*, której wizerunek (połowa naturalnej wielkości) przedstawia nasza rycina. Widzimy tu ostro stojące łuski zwierzęcia, z których dwie, w kształcie rogów, wznoszą się na głowie, czem wybitnie różni się *Phrynosoma* od innych jaszczurek.

Zwierzę to rzadko można aklimatyzować w Europie. W Ameryce przebywa ono w okolicach suchych i piaszczystych, a kolorem łuski nie różni się wcale od piasku na którym leży, mamy więc tu nowy dowód mimetyzmu, o którym wspominalśmy dawniej.

A. M.

PRZED LATY TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg.)

— Bądź pozdrowiony w domu twego sługi! — rzekł starzec i podchodząc ku drzwiom w głębi izby otworzył je i zawołał:

— Glaukio!

Wbiegło młodziuchne dziewczątko, ze śladami obfitych łez na delikatnej twarzyczce. Gdy tak w progu stanęła onieśmielona obecnością dostojnego pana, wyglądała jak uosobienie skromności dziewczęcej.

— Pójdź, słodka Glaukio i powitaj protektora naszego Eurymachusa — przemówił Trax — gość nasz, to dostojny Kwintus Klaudyusz, przyjaciel opuszczonych i prześladowanych.

Na licach Glaukii purpurowy wykwitnął rumieniec, popchnięta uczuciem najżywszej wdzięczności, pochwyciła ręce Kwintusa i zanim młodzieniec zdolał temu przeszkodzić wycisnęła na nich gorący pocałunek. Euterpe tymczasem przyniosła owoce i wino w glinianym dzbanie o dwóch uchach.

— Mało, ale z serca! — rzekła z uśmiechem stawiając to na stole, nie gardź panie nędznem orzeźwieniem. Zapewne utrudziła cię długa nocna wędrówka.

Kwintus wypił czarę wina; wkrótce do osób zebranych w izdebce przyłączył się cieśla Difillus mąż Euterpy.

— Ach! — zwierzała się lutnistka — muszę wam wyznać żem postąpiła bardzo nieroztropnie. Dowiedziawszy się że Filippus został pochowany na Eskwilińskim wzgórzu, gdzie tylko złoczyńców grzebią, serce moje rozdarło się z żalu... Przysięgłam sobie, że na jego mogile złożę godło odkupienia i dzisiaj pod koniec pierwszej wigilii przemknęłam się na Eskwiliński wzgórek. Prędko odszukałam drogi grób i złożywszy na nim krzyż i poświęconą gałąź palmową po odmówieniu krótkiej modlitwy odeszłam. W powrocie, oko w oko spotkałam jakichś ludzi z pochodniami... Jeden chciał mię pochwycić. Ogarnięta strasliwą trwogą zaczęłam uciekać, nocne cienie ocaliły mnie... Różnemi zaułkami i manowcami dostałam się do mieszkania... Teraz głowę sobie łamię, kto

byli ci ludzie!... Jeśli pacholkiwie miejscy... zgingliśmy zaczął nas śledzić!... Jeśli śludzy Stefanusa, to jeszcze gorzej. Oni wszyscy mnie znają z Bai, gdzie często grywała u ich pana...

— Moja biedaczko — rzekł Kwintus — musimy przecież obmyśleć środki uchronienia was od smutnych następstw twojej pielgrzymki na grób Filippusa, tylko powiedzcie mi najpierw, czemu zarządca cesarzowej z taką wściekłą zaciętością prześladuje narzeczonego Glaukii?

— Bo Eurymachus trafem odkrył jedną tajemnicę tego nędznika, przerażającą zbrodnię, obrzydliwszą niż wszystko co dotąd Stefanus popełnił. I z tej przyczyny zakneblowano Eurymachusowi usta, gdy miał być stracony w ogrodzie Likorydy. Ach! panie — ciągnął Thrax — jakimież to niecnymi środkami Stefanus zdobył iście Krezusowe skarby!... Setki ofiar tego nikczemnika zginęło z nędzy i rozpacz. I mnie on też ciężko, ach! bardzo ciężko skrzywdził.

— Ciebie Thraxie? A w jakim sposob?

— Otóż tak było: odziedziczyłem po ojcu małą fortunę, którą pragnąłem dla mojej Glaukii przechować i umieścić ją na procencie, sam zaś trudniłem się kowalstwem. Ty wiesz panie, jak mało ręczna praca popłaca w Rzymie. Wszelako najcięższa bieda nie zmusiła mię do naruszenia sumki przeznaczonej dla mego dziecięcia. Jedyne procent brałem aby dać Glaukii trochę więcej wygód i lepsze wychowanie... Tymczasem ni ztąd ni zowąd Stefanus przedstawił w sądzie fałszywy dokument, jakobym od niego pożyczył pieniędzy... No, i zgrabiał cały nasz majątek.

— I nie znalazłeś sprawiedliwości Thraxie? I żaden z młodych rzeczników nie podjął się obrony prawdy przez miłość dla niej samej?

— Zrazu nikt mię nie bronił, teraz znalazłem zacnego i rozumnego protektora. Słyszałeś panie o Ronejuszu Afraniuszu?

— Znam go osobiście. Jego nazwisko znane jest i szanowane w całym Rzymie,

— Bo to przemądry i przezacny prawnik! — z zapalem odparł Thrax — zawsze na Forum przemawia ze świetnym powodzeniem. Kilka razy już gotów był wytoczyć proces Stefanusowi lecz chytry lis zręcznie mu się wywija... Przecież jednak i dla niego wybije godzina kary.

— Przyjacielu — po chwili namysłu przemówił Kwintus — gotów jestem zaopiekować się wami... Czy Eurymachus jest jeszcze w Rzymie?

— Ukryliśmy go w okolicy. Niepodobna wyprawić go dalej, gdyż Stefanus rozesłał na wszystkie strony setki siepaczy, przytem Eurymachus zranił się w nogę podczas tej gwałtownej ucieczki, tembardziej więc nie mógłby teraz opuścić swego schronienia.

— Więc cóż ja mogę teraz dla was uczynić?

— Wybłagaj mu ulaskawienie. Twój dostojny ojciec wszak wielkie u cesara ma wpływy? Wiemy że Tytus Klaudyusz nie jest przyjacielem plebsu, wiemy że nieraz z nieubłaganą surowością karał przewinienia niewolników, przecież jest sprawiedliwy i rozumny i ulituje się nad Eurymachusem, a zwłaszcza jeśli ty za nim się wstawisz.

— Zrobię, co będę mógł.

— Błogosławieństwo niebios niechaj spłynie na twą głowę.

Kwintus położył dłoń na ramieniu starca i patrzył mu w oczy badawczo.

— Thraxie — rzekł — jestem-li w błędzie, czy też wy wszyscy należycie do sekty Nazareńczyków?

— Nie mylisz się panie, jesteśmy chrześcijanami i żadna moc ludzka nie zdołałaby nas przywieść napowrót do ołtarzy waszych bogów — wyrzekł Barbatus wznosząc oczy i ręce ku niebu — gotowiśmy w każdej chwili oddać życie dla Chrystusa, który dla nas umarł na krzyżu!...

Kwintus przeszedł się kilka razy po izdebce i z udaną obojętnością przemówił do starca:

— Będę ci wdzięczny Thraxie, jeśli przy sposobności

opowiesz mi coś o Chrystusie i waszej wierze... Religijne kwestye zawsze mię zajmują żywo... Tymczasem bądźcie zdrowi! Pomódlcie się do waszego Boga, aby dopomógł w moich staraniach.

Idąc Kwintus rozbierał w myśli wypad kilkunastu dni ubiegłych. On, młodzian z senatorskiego rodu, potomek jednej z najznakomitszych rodzin w najpotężniejszym państwie świata, on, patrycyusz zawiązał przyjaźń z robotnikami, z niewolnikami — słowem z najniższym plebem, a ta przyjaźń dawała mu takie miłe wzruszenia... Nawet wino, którem potra ktowała go Euterpe, najtańszy, cierpki napój, w gliniane czarze, smakował mu lepiej od słodkiego i kosztownego falernu, które zwykł u siebie i na ucztach pijać... Czemu to przypisać?... Jakie potęgi, jakie moce zapanowały nad moją duszą? — zapytywał sam siebie Kwintus Klaudyusz, wracając do domu w pogodną noc gwiazdzistą.

XI.

— Witaj, drogi ojcze — rzekł Kwintus wchodząc do pokoju arcykapłana, nazajutrz po bytności u Thraxa.

Na głos syna Tytus Klaudyusz machinalnie odwrócił głowę.

— Chwileczkę poczekaj Kwintusie — rzekł; trzciniowe pióro zacięte w ten sposób jak u nas gęsie, kilkakrotnie jeszcze prześliznęło się po szaro-żółtym papierze; potem oparł je ukośnie na metalowej podpórce i wstał.

— Jestem niezwykle zajęty, drogi Kwintusie — rzekł kładąc dłoń na głowie jedynaka — wszystkie chwile wolne od obowiązków kapłańskich, muszę poświęcić sprawie, której załatwienie nie może uleść zwłoce. W czym mogę być ci użytecznym bo sądzę, że nie sama chęć życzenia mi dnia dobrego, przywiodła cię do mnie.

— Rzeczywiście, pragnę przedstawić ci prośbę, ojcze.

— Mów. Wszak wiesz, najmiliej mi zadawałniam życzenia moich dzieci.

— Wiem ojcze, i dzięki ci za to! — zawołał Kwintus oburącz ujmując dłoń arcykapłana. Słyszałeś niewątpliwie, że zarządca cesarzowej, Stefanus, każe ścigać jednego ze swoich niewolników...

— Niewolnika skazanego na śmierć, którego jacyś zamaskowani złoczyńcy przemogą oswobodzili, a który przepadł jak kamień w wodzie!... Słyszałem, boć Roma cała oburza się tem niebywałem zuchwałstwem.

Kwintus się wahał. Czegóż mógł się spodziewać w obec takiego usposobienia arcykapłana?... wszelako odważył się na prośbę.

— A ja właśnie — mówił nieśmiało — chcę z tobą o tym pomówić o tym niewolniku... Widziałem go dwa lub trzy razy w Bajach, podobał mi się; zamierzyłem odkupić go od Stefanusa. Tymczasem ta fatalna historia popsuła mi wszystkie szyki. Skoro jednak dowiesz się ojcze, że Stefanus dla ukrycia jednej ze swych ohydnych zbrodni skazał na śmierć tego biedaka...

— Czy to wszystko, co pragnąłeś mi powiedzieć? — niecierpliwie przerwał arcykapłan; — jeśli tak, to prosiłbym cię drogi Kwintusie, w przyszłości zastanów się najpierw dwa razy zanim swego ojca, takim głupstwem zaprzątujesz.

— Pragnąłbym tego niewolnika kupić za jakąbądź cenę — mówił niezrażony Kwintus — o! proszę, chwilę jeszcze posłuchaj mnie ojcze... Czy w razie gdyby Eurymachusa ujęto, surowość kary za twojem wstawiennictwem nie mogłaby być złagodzoną?...

— Nigdy! nigdy swoich wpływów w nie użyję na korzyść tego nędznika, bo wiedz, Kwintusie, że... Eurymachus oskarżony jest o należenie do sekty Nazareńczyków... To wiedząc ty Rzymianin, nie będziesz nalegał dłużej... Bywaj zdrow!

Młodzieniec stał przez chwilę niby nieprzytomny. Otarł pot spływający mu po czole i wyszedł wolna.

Tytus Mucyanus pochylił się znów nad stołem i dalej kreślił coraz srozsze paragrafy ustawy przeciwko temu co on

arcykapłan Jowiszowy, za największe zło dla Romy uważał: przeciwko chrześcijaństwu.

Tymczasem w domu arcykapłana nie wszyscy byli równie oddani pracy jak jego pan i tak przygnębieni jak Kwintus.

Kajus Aureliusz głośno czytał Tebaidę, a ponieważ prawdziwym był mistrzem w sztuce deklamacyi, przeto Oktawia i obie jej córki prawdziwie były tym utworem Stacjusza zachwycone.

Gdy skończył czytać czwartą pieśń Tebaidy, Oktawia zaprosiła młodzieńca na uczestnika prandium i przy owym posiłku wesoło spędzili godzinę, albowiem Aureliusz również pięknie rozmawiał jak czytał. Klaudia była oczarowaną, a nawet Baucis zaklinała się na Izydę, że nigdy w życiu nie zdarzyło jej się spotkać rzymskiego rycerza z takimi przymiotami jak Aureliusz, który nawet dla niej stariej, szkaradnej babiny zawsze przyjazne miał słówko i tak „bosko” deklamował.

— Cóż będziemy teraz robiły? — spytała Lucylla, kiedy Batawczycy się oddali.

— Jest chłodno a pogodnie, więc mogłybyście z Baucisą przepędzić przyjemnie z godzinkę na pola Marsowem — rzekła Oktawia.

— Wyborny projekt obmyśliłaś, matuniu — klaszcząc w dłonie zawołała Lucylla — tylko Baucisa nam nie potrzebna, gderałaby na nas ciągle. Zresztą niewątpliwie spotkamy Kwintusa w gaju wawrzynowym, albo pod kolumnadą Agryppy.

Dziewczęta natychmiast wsiadły do lektyki, przed którą naprzód postępowało czterech Numidyjczyków.

— Wielkie to szczęście, żeśmy Baucisę zostawiły w domu — rzekła Klaudia po grecku, gdyż język grecki podówczas był językiem wykwinniejszych towarzystw — będziemy mogły gawędzić swobodnie.

— O tak! już wiem o czem! — zaśmiała się Lucylla — panna Klaudia wygłosi odę pochwalną na cześć Kajusa Aureliusza,

— Albo też panna Lucylla podobną odę skomponuje dla uczczenia niezwykłych przymiotów najzaciejszego i najwymowniejszego z prawników Enejusza Afraniusza! Alboż zaprzeczysz siostrzyczko, że ci się podoba?

— Ani myślę temu zaprzeczać, owszem chętnie wyznaję, iż uważam przyszłą żonę Afraniusza za istotę godną zażdrości...

— Bardzo jesteś otwarta!

— Nie mam potrzeby być skrytą; alem też odgadła, że Kajus Aureliusz zdołał względy twoje pozyskać...

— Cicho! — przerwała Klaudia, całując siostrę w policzek — przysięgnij mi, że!...

— Że nie będę obwieszczała na placach publicznych: „Klaudyi podobał się Aureliusz!”. Naturalnie że tego nie zrobię i tę wiadomość zatrzymam przy sobie w największej tajemnicy... Tylko przewiduję, że wiele przeszkód i cierni spotkasz na drodze do szczęścia moja dobra siostrzyczko! Pomyślno: jakiś rycerz z prowincyi i córka jednego z najznakomitszych senatorskich rodów!... Ojciec na wasz związek nie zgodzi się tak łatwo.

— Wiem o tem — westchnęła Klaudia — nam młodym Rzymiankom ojciec lub opiekun zwykle wybiera małżonka, nie pytając czy on się nam podoba lub nie. Zaręczyni z własnego wyboru i woli, takie jak Kornelii z naszym Kwintusem, to prawdziwa osobliwość.

(d. c. n.)

GÓRNICZY W KOPALNIACH WĘGLA.

Ciężką jest praca rolnika, często pot zrasza jego czoło, usta schną od pragnienia, a od ustawicznego schyłania krzyż boli; lekką jest wszakże w porównaniu z pracą górników dożywających węgiel kamienny. Rolnik widzi światło dzienne,

oddycha czystem powietrzem, słyszy śpiew ptasząt, widzi innych ludzi. Jakże różne jest od tego zajęcie górnika! Wchodzi on z rana do ciemnego podziemia, pozostaje w niem przez sześć godzin, a w niektórych kopalniach przez całe godziny dwanaście. Ciemność otacza go dokoła, jedynym światłem jest lampka zawieszona u jego piersi. Wejście stanowi częstokroć dosyć obszerna i głęboka studnia, do której spuszczać się trzeba w koszu lub innym przyrządzie przymocowanym do liny. Widzieliście zapewne ludzi kopiących studnie, podziwialiście ich odwagę gdy się w głąb ziemi spuszcza, ale niczem to jest w porównaniu ze spuszczeniem się do kopalni. Na ileż to niebezpieczeństw naraża się wtedy robotnik! Sznur lub łańcuch może się zerwać, nieostrożny górnik może uderzyć głową o twardą ścianę, obluźwana w górnej części bryła węgla może mu spaść na głowę.

U spodu owęj studni długie korytarze wykute w ziemi prowadzą w głąb kopalni. Tam dopiero poczyna się wydobywanie węgla, a praca to nielada, gdyż węgiel kamienny jest bardzo twardy, a do odłamywania go trzeba używać ciężkich drągów żelaznych, oskardami zwanych. Dobrze jeszcze, jeśli galerie w których pracuje są dość wysokie, aby mógł stać lub klęczeć lecz w wielu kopalniach są one tak niskie, że jedynie leżąc pracować można. Jakże ciężko jest rąbać wten sposób węgiel przy słabem świetle. Pomimo wszelkiej ostrożności nieraz bryła spadnie na piersi. Wyrąbane odłamy wywożą inni robotnicy na taczkach, składają na miejscu skąd za pomocą windy wyciągane bywają na powierzchnię ziemi.

W wielu krajach w których ludność jest znacznie liczniejsza niż u nas, nawet kobiety za nędzne wynagrodzenie podejmują się tak ciężkiej pracy.

Węgiel kamienny bez którego dziś niepodobna byłoby się obejść, powstał z odwiecznych lasów które od czasów bardzo dawnych przywalone ziemią zamieniły się w materiał twardszy i silniejszy od zwyczajnego węgla drzewnego. Nieraz zapewne jechaliście koleją żelazną i prawdopodobnie widzieliście całe wagony węglem naładowane, ale nie pomyśleliście ile to pracy, trudu i kłopotu kosztowało jego wydobyć. Dziś w całej Europie lasy są tak wyniszczone, że nie wystarczyłyby na potrzeby licznych fabryk ani kolei żelaznych, pokłady zaś węgla kamiennego wszędzie się znajdują w wielkiej obfitości.

Henryk Wernic.

MOJA CZWÓRKA.

Hejże! z jaką to paradą
Moją czwórką ludzie jadą!
Co za śliczne to siwose,
Przyjrzyjcie się, bardzo proszę!
Drugięj takiej niema czwórk:
Czy doliny, czy pagórki,
One pędzą niestrudzone;
W którą stangret każe stronę.
Gdy im ostro palnąć z bata,
To by biegły na kraj świata!
Gdy je bieg rozgrzeje nieco,
To z pod kopyt iskry lecą,
To im ogniem błyszczą oczy,
To się piana pyskiem toczy
I wciąż pędzą dalej, dalej...
Któż mój czwórki nie pochwali?
Drugięj takiej niema w świecie —
Chcecie wierzyć czy nie chcecie!
Ot i uprząż na nich nowa,
Wszystko piękne, ani słowa!
A spojrzycie na stangreta,
Zuch! nieprawdaż? Hej! wio! heta!

Helena Bojarska.

GULA.

Biedna Leonka! — Tak szybko, tak niepostrzeżenie przebiegły jej te dwa miesiące spędzone nad pięknymi brzegami Lemanu. Jutro posadzą ją do wagonu, lokomotywa... ach! niechaj teraz przepadnie piekielny ten wynalazek XIX wieku!... lokomotywa, bezduszna siła pary porwie ją ku północy do liści żółtych, do powietrza już pierwszym tchnieniem zimy przejętego. A ona takby pragnęła uciec od tego na długo, choćby na zawsze... podążyć dalej jeszcze na południe, do światła, do ciepła, do słońca!

Biedna Leonka! Ostatni wieczór spędza pod niebem pogodnym tego roku; tam, dokąd wraca, powita ją chłodne tchnienie jesiennego wiatru, i mrok długiego jesiennego wieczoru. Szczęśliwi oni, współtowarzysze szwajcarskiej pensyi, niektórzy z nich na zimę jadą do Włoch, jeden nawet młody człowiek ma zamiar zwiedzić Hiszpanię, inni, choć tu, w pogodnym Montreux pozostają.

Stary półkownik uśmiechnął się pobłaźliwie widząc zasmuconą postawę dziewczynki. Pocziwy Szwed niezmiernie lubił dzieci. Sam owdowiawszy wcześniej, zbyt przywiązany do żony, żeby w nowych związkach szukać pociechy, nie mógł się powstrzymać od okazywania swęj życzliwości dzieciom innych, skoro własnych niebo mu odmówiło. To też korzystając ze swobodnych stosunków szwajcarskiej „pension”, zaprzyjaźnił się z Leonką, której uczuciowość i bujna wyobraźnia go pociągały. Teraz przybliżył się do niej: „Smutno ci wyjeżdżać” rzekł odpowiadając jej myślom, nietajonym zresztą, żał ci tęg pogody i tego słońca, zazdrościsz tym co pojedają?

— Gdzie cytryna dojrzewa.

— Poznałem ciebie dosyć i przewidywałem tę chwilę. — Siądź przy mnie i posłuchaj, zachowywałem tobie na ten dzień ostatni pewne wspomnienie z mojęj młodości, które i dla ciebie nie bez pożytku być może.

Wiadomo ci, żem służył w inżynierii. Otóż raz byłem wysłany dla jakiegś rządowej roboty na samą północ naszego kraju, między Laponów. Było to w lipcu w czasie krótkiego ich lata, które mówiąc nawiasem nie jest pozbawione swego właściwego uroku. Słońce ledwie na parę godzin zachodzące poza widnokrąg, nigdy nie ustająca zorza, łąki pełne przeróżnych jagód, ruch wieczorny w około obozowiska kiedy reny z pastwisk powracają, barwne stroje Laponek, nawoływanie pasterzy, to wszystko mię wprowadzało w świat tak odmienny od wszystkiego, co przedtem widywałem, że zdawało mi się, iż jestem snem zaczarowanym ujęty. Dopelniały tego wrażenia baśni, których słuchołem wieczorem przy ognisku rozpalonym dla uchronienia się od komarów, a przy którym piekły się duże reniferowe pieczenie, baśni o bożku Pekel, o duchach różnych, o Islandyi, która powstała z kamieni co je zły duch wrzucił w morze, rozgniewany widokiem pięknej ziemi świeżo przez Boga stworzonej, o dobrych ludziach, którzy z woli Boga tę wyspę zamieszkali tak, iż dzieło szatana na zawstydzenie mu wyszło, o lepszych czasach wreszcie, kiedy Laponczycy mieli wodzów, a na niezmiierzonych obszarach paśli reny swoje — dalej na południe — gdzie lato do dziewięciu tygodni dochodzi!

Nie wyobrażaj sobie moje dziecko, żeby Laponki były wszystkie tak brzydkie jak je ryciny w podręcznikach geografii, a nawet w podróżach zwykły przedstawiać. Ludzie mają dziwną skłonność do karykaturowania tego, do czego oczy ich nie przywykły, tymczasem dla bezstronnego badacza, bywają między ludami od naszych szczepów oddalonymi, typy choć całkiem odmienne od naszego, niemniej przeto nie pozbawione właściwego sobie wdzięku, a nieraz nawet i piękności.

Samabyś to była uznała, gdybyś była zobaczyła moję małą Gulę. Niskiego była wzrostu, to prawda, jak wszystkie Laponki, ale rysy jej delikatne, mimo nieco wydatnych policzków, wybornie odpowiadały całej jej drobnej postaci; czar-

ne włosy i brwi regularnie narysowane, ślicznie odbijały od smagłej cery, ruchy były zręczne, sprężyste czasem, jak u młodej wiewiórki, w chwilach zajęcia gospodarskiego lub wesołości, czasami pełne rozkosznej miękkości.

A oczy małej Guli!... Tęsknota niezmierna paliła się w tych słodkich czarnych oczach. Tęsknota, za czem? Anibyś zgadła dziewczeczko. Na dwa lata przed mojem przybyciem kiedy Gula jeszcze dziewczynką trzynastoletnią była, młody inżynier ze Sztokholmu zauważył bystre dziecko i skracał sobie chwile wolne od pracy, które długimi mu się wydawały, opowiadaniem o wielkim mieście, o łanach zboża w południowej Szwecyi, o ogrodach, gdzie kwitły barwne kwiaty, gdzie rumieniły się wiśnie na wiosnę, a czerwone jabłka na jesieni. Opisy miasta nie przemówiły do wyobraźni na pół dzikiego dziecięcia, ale w długie noce zimowe drząc od zimy w ciężkim ubraniu z reniferowej skóry, Gula marzyła o słońcu które nigdy na dłużej, niż na ośmnaście godzin nie zachodzi, o kraju, gdzie kwitnie wiśnia, gdzie jabłoni dojrzewa. Mój poprzednik miał nawet z sobą parę jabłek i dzieła poetów, a umiejąc również jak ja po lapońsku, zabawił się raz przetłómaczeniem jej ich pieśni, a biedne dziecię północy dla którego pomarańcza i cytryna były tylko martwym, nic nie mówiącem brzmieniem, przeniosła swoje marzenia na te jabłka, które tak ślicznie musiały wyglądać na wysokich, jasnym liściem okrytych drzewach, na białe kwiaty czeremchy i wiśni, na ludzi, którzy nie potrzebowali przez większą część roku oszywać się w skóry i wyglądać jak złe duchy lub dzikie zwierzęta.

Biedna Gula była sierotą; — może brak uczeń rodzinnych potęgował w niej skłonność do marzeń i do tęsknoty niepoahamowanej? Postanowiłem spełnić jej gorące pragnienia, a że miałem siostrę, której mąż posiadał majątek w południowej Szwecyi, a ta siostra była aniołem dobroci i wyrozumiałości, postanowiłem zawieźć jej biedną małą Laponkę, której tak zimno i tak cienno się wydawało w jej lodowatęj ojczyźnie.

A końca mojęj przygody czy się domyślasz Leonko?

Naturalnie żeś zrozumiała naukę w dotychczasowym opowiadaniu dla ciebie zawartą. Ty tęsknisz do nieba lazurowego, do kwiecia granatu, do ludzi ognistych i pełnych życia słonecznego, ona, co w jabłoni czerwonym owocem okrytej, szczyt piękna i rozwoju przyrody widziała, co była powiedziała o waszej wiosnie rozspiewanej i wonnej, o lecie waszem skwanym i upajającym, o waszej stubarwniej jesieni, ołśniewających dniach słonecznych, mieniących się blaskiem drogich kamieni na śniegu, co była powiedziała o tych wszystkich urokach waszej przyrody, któreś mi w chwilach lepszego usposobienia z takim uczuciem opisywała!

W kilku słowach opowiem ci koniec mojęj przygody Leonko, a raczej dzieje wypełnienia marzeń dziecięcia skalistej północnej przyrody. Przez dwa lata widywałem ją dosyć często. Zachwycona w dniach pierwszych i nęd wyraz szczęśliwa, nie znajdowała słów do okazania mi swęj wdzięczności ani przywiązania dla mojęj siostry. Wdzięczność ta przebiegała w całym jej postępowaniu, w odgadywaniu naszych pragnień, i to trwało do końca jej między nami pobytu. Każdy widok nowo-poznany, każdy kwiat widziany poraz pierwszy, stawał się powodem do niewypowiedzianych zachwytoów. Całemi godzinami siedziała na letnim skwarze, wpatrując się w niebo złotemi promieniami ogrzane. Stopniowo ciekawość, chęć do nauki zaczęła się do tęg rozkoszy używania dołączać. Po dwóch latach mnięj więcęj wziąłem urlop sześciomiesięczny dla zwiedzenia trochę Europy i przez pół roku jej nie widziałem.

Wróciłem w śliczny dzień czerwcowy, wcielenie chyba najpiękniejszych marzeń o świetle, o pięknie, o uroku. Siostra moja właśnie wyjechała w sąsiedztwo. Gula wybiegła na moję spotkanie. Podała mi obie ręce z wykrzyknikiem radości, ale głos jej brzmiał dziwnie i zauważyłem, że miała oczy od łez czerwone. Badałem ją chwil kilka napróżno. Nie mogła się nasławić dobroci mojęj siostry i jej męza, piękności okolicy, wdzięczności swojęj dla mnie, com jej ten świat nieznanym pokazał. Po chwili jednak kiedym stanowczo zażą-



MOJA CZWÓRKA.

dał zupełnej od niej szczerości, kiedy ją zmusił do podniesienia na mnie oczu, które uparcie odemnie odwracała, rzuciła mi się na szyję jak niegdyś, kiedy była jeszcze nieokrzesanym dziecięciem krańcowej przyrody, i łkanie wstrząsnęło całą jej drobną postacią.

— O panie — zawołała złamanym głosem — ja nie jestem niewdzięczną, ja was tak wszystkich kocham! Tu tak pięknie, i dzięki ci, żeś mi to wszystko pokazał. Ale odesłaj mnie tam, daleko, gdzie renifery się pasą! do gam *) naszych, do ludzi w skóry obszytych, do zimy długiej i czarnej, do krótkiego beznocnego lata. O panie! już tak dawno nie słyssałam renów beczenia, i nigdy tutaj, nigdy niema dnia niezachodzącego, i nigdy wśród gamy mrokiem okrytej, dym nie wyjada mi oczów owijając ognisko i ludzi o drobnych postaciach, i sprząty od dzieciństwa widziane w ruchomych kłębow tajemniczą zasłonę, układając obrazy do baśni naszych podobne.

Leonka ze wzruszeniem słuchała tej powieści.

— I pan ją odesłał naturalnie. Ale czy nigdy nie zażęskniła Gula do cieplejszego słońca? Czy nigdy nie powróciła do miejsc, w których się myśl jej rozwinęła, do domu w którym tyle życzliwości doznała?

— Raz jeden, na bardzo krótko — odparł pułkownik, odpowiadając tylko na ostatnie pytanie. — Jeden z jej krewnych dla handlu dotarł aż do Sztokholmu, ona skorzystała ze sposobności, żeby zobaczyć moją siostrę i mnie, i całą naszą rodzinę, a przytem będąc już narzeczoną, chciała przed ślubem dokładnie obejrzeć nasze kominy z uszłą, czyby się nie dało choć trochę opalania chat lapońskich ulepszyć.

I może jej się to udało — dodał pułkownik z uśmiechem — w ogóle tak powierzchownie znamy tamte strony, że wiemy tylko, że ani ich obyczaje, ani mieszkania do naszych przystosować się nie dają, ale drobnych stopniowych odmian i ulepszeń spostrzedz nam trudno.

— Czy i to ma być nauka, pułkowniku? — zapytała Leonka już rozweselona.

Pułkownik tylko uśmiechnął się dobroliwie, a dziewczynka pogroziła mu, niby urażona za ciągle morały.

Swoją drogą z lepszym sercem nazajutrz jechała ku północy.

Marya Leona.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Ale Juana rzuciła tylko na pytającego skośny błysk oczu i nie odpowiadając mu wcale, dalej ciągnęła monotonnym, nosowo brzmiącym głosem:

— A ona doma się trzodzi: skóry na odzież wyprawia, hamany sadzi, drzewo chlebowe uprawia, jadło warzy, dzieci strzeże, a Zgryzota ślad w ślad za nią chodzi. Ręce ściągnie do roboty, jak przystało, a ta zaraz rzuci się na nią.

— Jakto! nawet na taką, która się do roboty nie leni?

— A jakże! oj na taką nawet, na taką! Węzem z trawy wyskoczy, *garrapat*'em z liści opadnie, głownią z ogniska osmali, pomorem na dzieci udreńczy, chorobą gładkie lice oszpeci, prędką starością plecy przygarbi i rękoma siłę odbierze... A wszystko to nic jeszcze! byle jej nie dać wstępu do serca, bo wysię zeń wszystką moc i słodycz i tak zrobi, jak dziewczynie onę zrobiło... Więc dla tego to wdychać się nie godzi nad robotą! — weselę już kończyła Juana — i dla tego to serce we mnie rośnie, gdy widzę, że Żółty-Motył nie daje się Zgryzocie. Ha! kto tam wie! może u białych nie taka ona straszna kobiecie?

I spojrzawszy pytająco na miss Oliwię, która od pewnego już czasu przysłuchiwała się opowiadaniu Juany.

— Kobieta biała zarówno jak i kobieta indyjska bronić się od niej może słowami: „bądź wola Twoja, jako w niebie i na ziemi” — odpowiedziała miss Oliwia. — Dola kobiety na całym świecie jednakowa, i wszędzie jest to prawdą, że nie godzi się dawać przystępu do serca zgryzocie. Prawda Luciu?

— Prawda, pani droga — odpowiedziało dziewczę — rozumiem ja to dobrze. Tylko czasem tak trudno, tak ciężko...

— Nie westchnąć? — wtrąciła Juana. — Oj! Żółty-Motył! ciężiej temu kto wdycha...

— To też nie trzeba wdychać, tylko myśleć o tem, że niedługo wszystko będzie jak pierwój! — wesoło zawołał don Leon. — Ojciec znajdzie Józia, przywiezie go z sobą do Guany i zapomnisz o wszystkich zmartwieniach!

Nie wiadomo czy pomyślała Lucia, że są rzeczy których nie łatwo zapomnieć, ale to pewna że starała się nie okazywać po sobie smutku i choć z ciężkim sercem, z pogodną jednak twarzą powitała dzień odjazdu, nie pozwalając sobie roztkliwiać się wspomnieniami i myśleć o tem, że z chwilą wstąpienia na pokład opuszcza ziemię rodzinną, na której pozostawia najbliższych sercu, a nie wie czy i kiedy ich ujrzy.

Jakby dla wynagrodzenia Luci za męstwo i spokój, których dowodów nie przestała dawać ani na chwilę, warunki podróży złożyły się tak pomyślnie, że przeprawa okazała się nadszodziejanie przyjemną. Kapitan nie wiele zabrał pasażerów i to takich tylko, którzy albo osobiście znani mu byli, albo też przez znajomych poleceni, skutkiem czego członkowie zebranego na pokładzie towarzystwa od pierwszej chwili nie uważali się za obcych sobie, a po kilku dniach razem spędzonych byli już w samej rzeczy gromadką dobrych znajomych.

Wśród nich najsympatyczniejszą dla Luci osobistością była panienska o rok może od niej młodsza, na którą matka i starsza siostra, dorosła już panna, wołały „Zośko”! Równa Luci wzrostem, szczupła, ciemnowłosa, z piwnymi oczami panienska, nie będąc ładną, miała dużo wdzięku i życia, układ swobodny i miły, którym zjednywała sobie ludzi tak dalece, że nawet surowa i wymagająca miss Oliwia nazwała ją „*a high bred girl*”, co już w ustach nauczycielki angielskiej jest największą pochwałą, oznacza bowiem „doskonale wychowaną panienskę”, Chętnie więc zezwoliła miss Oliwia na przyjazny stosunek, jaki się niebawem zawiązał pomiędzy Lucią i Zośką i prędko doszedł do tego, że obie panienski nie miały dla siebie żadnych tajemnic, nawzajem opowiedziawszy sobie wszystko, co się której w życiu zdarzyło.

Dla Luci pozbawionej dotychczas towarzystwa rówieśniczek, a nurtowanej niepokojem o brata i ojca, znajomość z Zośką stała się prawdziwą pociechą. Z zajęciem słuchała jej opowiadań o życiu tak odmiennem od wszystkiego, do czego w Ameryce przywykła a i Zośka ze swojej strony nigdy dość się nie mogła nasłuchać opowiadań Luci o Flores, o ludziach, zwierzętach, kwiatach, o wszystkim jednym słowem, co Luci wybornie było znanem, a dziewczynce urodzonej na innej półkuli świata i wychowanej na Północy, wydawało się bajką cudowną.

Nigdy w życiu nie zapomną obie dziewczynki tych długich rozmów wieczornych pod wyiskrzonym od gwiazd niebem, na pokładzie okrętu, którego koła miarowym prują ruchem mórz podrównikowych tonie!

Pani Lubiczowa, zamieszkała pod Krakowem, wybrała się z dwoma córkami w daleką do Ameryki południowej podróż dla odwiedzenia syna, który przed laty kilkunastu kraj opuściwszy próbował różnych zawodów, aż wreszcie osiadł w Brazylii, gdzie bogaty przemysłowiec tameczny powierzył mu nadzór nad wydobywaniem kauczuku, czyli nad zbieraniem soku z drzew *Hevea guyanensis*, *Ulaea elastica*, *Cameraria Latifolia* i przetwarzaniem tegoż soku na masę, przerabianą potem na ogólnie znane wyroby z kauczuku.

Stęskniony za rodziną, p. Karol Lubicz od kilku już lat błagał matkę, aby przybyła do niego na czas jakiś. Różnego rodzaju przeszkody nie dozwalały dotąd p. Lubicz-

*) Gama obozowisko, mieszkanie lapońskie.

węj zadość uczynić prośbie syna; teraz dopiero, gdy w dorosłej już, praktycznej i rezolutnej Ewci mogła mieć pomoc w podróży niezbędną, gdy dorastająca Zośka usilnie się dopominać zaczęła o znajomość z bratem, którego nie pamiętała wcale, postanowiła p. Lubiczowa przebyć ogromną przestrzeń, dzielącą ją od syna.

Podróż, żadną przeszkodą nie opóźniona zbliżała się już do kresu. Piękny „Flyer” (Latawiec), bo tak się nazywał parowiec, opłynawszy przylądek Yukatan, znajdował się na wodach morza Karaibskiego i niedługo już rozstać się miały rodziny, niedawno wcale sobie nieznane, a teraz już szczerze zaprzyjaźnione. Lucia i Zośka więcej może od innych ubolewały nad tą koniecznością, usiłując się pocieszać: jedna nadzieją poznania brata, druga ujrzenia dziadków i siostrzyczek.

Pomimo to wzdychały obie na myśl coraz to bliższego pożegnania, i nieraz, gdy mowa o tem była, płakały tak rzewnie, że żal brał patrzeć na nie.

Don Leon, zawsze dobry dla Luci jak brat najtkliwszy, pragnął ją uspokoić przyrzekł jej, że zabawiwszy jakiś czas u rodziców jej matki, uda się stamtąd do Brazylii, odwiedzi p. Lubicza i przywiezie Luci wiadomości od Zośki oraz od matki jej i siostry, do których Lucia całym sercem przylgnęła.

— Mam nadzieję, że mi szanowna pani nie wzbroni odwiedzić się w Brazylii? — dodał, zwracając się do p. Lubiczowej.

— Miło mi będzie powitać pana w domu mego syna — uprzejmie odparła staruszka — a i jemu miło będzie zawrzeć znajomość z panem, bo o ile wiem, szczerze ma koło znajomych. Chętnie też skorzysta ze sposobności podziękowania panu za opiekę, jaką pan nas otaczał w podróży.

— P. Leon doskonale wypełnia obowiązki opiekuna! — wtrąciła Zośka. Prawda, Ewciu?

Panna Ewa nie odpowiedziała na to ani słowa, zarumieniła się tylko jak wisienska i schyliwszy się, podsunęła matce stołeczek pod nogi.

Nadszedł wreszcie dzień, który miał być ostatnim wspólnie spędzonym na pokładzie *Latawca*. Z niewielkiej liczby pasażerów połowa prawie dążyła do Gujany: jedni do *Paramaribo* w holenderskiej, inni do *George-town* w angielskiej, lekarz z żoną i dwójkiem dzieci do *Kajenny* francuskiej, skąd i Lucia także z miss Oliwią i swymi towarzyszami, udać się miała w głąb kraju. Dziad jej, po ojcu swjej żony odziedziczył tam kwitnącą osadę, gdzie zabawił się pielęgowaniem plantacji drzew zwanych „*cinchonas calisaya*” a wydających korę chinową, tak wysoko w handlu cenioną.

Pani Lubiczowa z córkami wysiąść miała dopiero w Perambuko, gdzie oczekiwał na nią syn, uprzedzony o jej przybyciu. Liczyła dni oddzielające ją od upragnionego spotkania, liczyła z taką niecierpliwością, że każde zatrzymanie się parowca wydawało jej się wiekiem całym. Jakkolwiek więc bardzo polubiła Lucję, a towarzystwo miss Oliwii uważała za niepospolicie przyjemne, nie gniewała się jednak gdy po łzami obłanych pożegnaniach, wysiadła na łód przyjaciółka jej córki, a „Latawiec” ruszył w dalszą drogę, całą siłą pary kierując się ku wybrzeżom Brazylii.

Nazajutrz po przybyciu do *Kajenny*, Lucia sama naglić zaczęła do drogi. Don Leon wybornie znający miejscowość i obdarzony przytem rzadką praktycznością, poczynił potrzebne przygotowania i po trzech dniach wypoczynku gromadka naszych podróżnych opuściła miasto, którego klimat gorący i przepelniony wyciewami okolicznych bagien, zabójczym bywa dla nieoswojonych z nim przybyłych. Przy przedsięwziętych przez miss Oliwią środkach ostrożności, nie zaszkodził wszakże nikomu; jedna tylko Morillina, która przez cały czas przeprawy w wybornem była usposobieniu i figlami swemi wszystkich rozweselała, teraz jakoś osłabła, cały dzień leżała wyciągnięta na macie wyścielającą pokój i zamglonemu oczyma wodziła za Lucją, do której niezmiernie była przywiązana. Lucia, biorąc na seryo obowiązek opieki nad powierzoną jej przez Morilla wychowanką, niepokoiła się mocno stanem zdrowia biednego stworzonka, ale miss Oliwia przepisała Morilli-

nie kuracyą, która się okazała nader skuteczną. Odpowiednia do jej wzrostu doza chininy, łyżeczka koniaku rano i wieczorem przez dni parę, przywróciły Morillinie siły i zwalczyły złe wpływy klimatu.

Przeprawiwszy się przez szeroko rozlaną i leniwie toczącą swe wody rzekę *Mahouri*, której brzegi gęsto zarosłe nierozwikłaną płataniną krzewów, są istnem gniazdem szerzących gorączkę miazmatów, wsiedli podróżni w miasteczku *Roura* na konie i górzystą, rozpadlin pełną, kamieniami uslaną drogą, dotarli do miejsciny *Kaw*. Tu, znowu wypocząwszy po męczącej, kilkunasto-godzinnej jeździe, wsiedli z całym taborem na statki, licznie krążące po kanale, który łączy rzekę *Kaw* z rzeką *Approuague* i stanowi najwygodniejszą komunikacyą pomiędzy dwoma miejscinami. Statki te, do traw niż do łodzi podobniejsze, noszą w miejscowej mowie nazwę *vigilinga* i zbudowane są ze sławnego „*drzewa żelaznego*” (*Acroclidium* *Hauba*) które nieulega gniciu i stanowi jeden z najdroższych produktów handlu wywozowego.

Na takim to statku, którego załoga składała się z krajowców, noszących w miejscowem narzeczu nazwę *Bonisów*, znajdowali się nasi podróżni o wschodzie słońca. Ognista tarcza słońca błysnęła nagle z ponad gęstwiny drzew, ocieniających brzegi kanału; różowe ibisy, purpurowe czerwonaki zrywając się do lotu, wyglądały w słońcu jak ogromne fruujące rubiny; silne, upajające aromaty podrównikowej roślinności wisiały w gorącym, wilgocią przejętem powietrzu, olbrzymie trzciny o giętkich łodygach, o metalicznie lśniących liściach (*caladium arborescens*) chwiały się nad wodą, lasem zwartych, szeleszczących prętów, ponad któremi strzelały tu i owdzie purpurowe kielichy *helikonii* lub mleczno biały kwiat *arum*, do płatu atlasowego podobny.

— Pięknie tu, ale inaczej jak u nas — odezwał się don Leon, rozglądając się naokoło.

— Straszno jakoś! — dorzuciła Lucia. — Doprawdy, zdaje się, że wszystkie te kwiaty i drzewa wybujały w gorączce i gorączką zieją na ludzi.

— Dam ci zaraz chininy, Luciu — zawołała miss Oliwia, której obawa gorączki nie dawała minuty spokoju.

— Dziękuję pani! zdrowiusienka jestem! — broniła się Lucia, której w pomoc przyszedł don Leon uwagą, że z kanału o błotnistych brzegach łódź wpłynie niedługo na rzekę *Aragouary*, której pogłębione koryto pozwala wodom bystrzejszym toczyć się prądem.

W istocie przed zachodem słońca jeszcze ukazały się nad brzegami pagórkowate wyniosłości, ostatnie rozgałęzienia oddalonego gór łańcucha i nazajutrz popołudniu wpłynęła *vigilinga* w niewielką zatokę, w głębi której ukazała się wygodna przystań.

Na wodach zatoki kołysało się kilka statków różnej nazwy i wielkości: jeden, podobny do promu, na którymby postawiono niewielki domek, parę wysmukłych, długich czółen, w pniu drzewa wyżłobionych, prześliczna, na kolor perłowy pomalowana łódź z wypisanymi złotemi literami imieniem swym „*Robinson*” i gdyby tu był Józio, czyby chyba wypatrzył z ciekawości, jako amator żeglugi i wszelkiej na wodzie rozrywki.

Ale Lucia nic nie widziała i na nic nie patrzyła w tój chwili, bo całą uwagę zwróciła na małe gronko osób, stojących nad schodami, które do przystani prowadziły. Tuż za poręczą na niewielkiej estradzie, ocienionej markizą, na której spadzistym dachu ułożono dla tem większego chłodu cały las liściem okrytych gałęzi, stoi para staruszek średniego wzrostu, ogorzały mężczyzna, z białym jak śnieg, krótko przyszyżonym włosiem i drobna, szczupłutka staruszka, której włosy nie różnią się wcale białością od białej tkaniny jej ubrania.

Obok niej, biało ubrane, w ogromnych kapeluszach z pod których widać tylko gęstwinę czarnych loków i śniado-różowe ramionka stały dwie jednakowego wzrostu dziewczynki. Wszyscy na znak powitania powiewają chustkami ku przybywającym, wszyscy, gdy dobija już *vigilinga* do brzegu, schodzą na ostat-

ZADANIE KONIKOWE.

ni stopień schodów i nigdy potem przypomnieć sobie nie mogła Lucia, jak i kiedy znalazła się w objęciu babki a potem w ramionach dziadka, który z siłą w takim starcu zadziwiająco, podniósł ją w górę jak piórko i postawiwszy na poręczy, zawołał dźwięcznym jeszcze, przywykłym do rozkazywania głosem:

— Panienska nasza, dzieci! wszak ją będziecie kochali?

Odpowiedzią na to pytanie był okrzyk radosny, wybiegający z piersi kilkudziesięciu ludzi, różnego wieku, różnej płci i barwy. *Barwy* powiadamy, bo w tej gromadce sług, otaczających sędziwych gospodarzy domu, widać było i białych, i murzynów, i mulatów i czerwonoskórych, mężczyzn, kobiety i dzieci, a wszystko to wydawało się szczerze zadowolone z radości swoich panów i bardzo ciekawe przyjrzenia się bliżej Luci.

(d. c. n.)

Z DALEKA.

Esquimosi, zamieszkujący Grenlandyę, mają także swoją gazetę, której redaktor jest jednocześnie zecerem, drukarzem i roznosicielem tego pisma; nazywa się on Lars Möller i oddał profesorowi Nordenskjöldowi ważne usługi podczas jego podróży po Grenlandyi. Drukarnię swoją, bardzo pierwotną, urządził Möller w Godfhado, zład dwa razy na miesiąc wyrusza na łyżwach śniegowych i objeżdża kraj w charakterze krzewiciela cywilizacyi. Początkowo pismo, nazywające się poprostu *Materyał do czytania*, zawierało tylko nieudolne rysunki, które obudzały ciekawość i podniecały wyobraźnię; potem nastąpiły litery, zgłoski i wyrazy, które wkońcu łączono w zdania, a z tych tworzyły się następnie krótkie opisy o różnych zdarzeniach na świecie. Möller tedy literalnie nauczył swoich ziomeków czytać. Esquimosi mają też do niego wielkie zaufanie i uważają go za pomazańca Boskiego; szczególne zaś poważanie rodaków zdobył tem, że często zmienia miejsce pobytu, by wszystkim „rodzinom” dostarczać duchowego pokarmu. Towarzystwo literackie w Danii, któremu niedawno przesłano kilka egzemplarzy tej gazety, posłało Larsowi Möller dobrą ręczną maszynę drukarską, papier i nowe czcionki, by mógł drukarnię swoją powiększyć.

REBUS.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Jaszczurka amerykańska (z drzew.) — Przed lat tysiącem. — Górnicy w kopalniach węgla p. Henryka Wernica. — Moja czwórka p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Gula p. Maryę Leong. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Z daleka. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Mały łakomiec p. V. Cairo (z drzew.) — Owieczka, wiersz. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. A. Do. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

i	ci	kłam	by	zo	ne	wo	szka
stwo	a	mo	dzie	łem	w pta	go	wo
ko	du	gdy	łu	cha	sło	znów	nas
go	czy	łem	le	wieść	łe	pta	o
tru	kiem	i	ko	że	wy	do	ma
ni	złe	ci	da	nie	się	grom	szkiem
wart	leż	wie	po	Zda	go	wo	ca
le	a	ży	zmie	łu	wra	rza	ne

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35 go.

Homonimu: K o l e e.

Łamigłówni sylabowej:

1. Lignica. 2. Adrianopol. 3. Boh. 4. Infula. 5. Rzym.
6. Yb. 7. Nektar. 8. Troja.

Labirynt — Alhambra.

MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

zawiadania, że codziennie od godziny 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic przychodnich, pensyonarek i pół pensyonarek.

Lekcyje rozpoczną się 20 Sierpnia (1 Września).

Do nabycia: **Najlepsza Metoda języka Niemieckiego** Plato v. Reusnera kurs niższy. Wydanie VII cena kop. 60. Ciekawa powieść **Zwycięzcy Oceanu** p. W. Umińskiego, dla prenumeratorów za rs. 1 kop. 20 z przesyłką.

WIECZORY RODZINNE.



Mały łakomic.

MAŁY ŁAKOMIC.

Franuś, ośmioletni synek Wojciechowój, gospodynini z czeladnej kuchni, mógł być jak mówiono ogólnie, wcale dobrym chłopaczkiem. Latem, wstawał rano skoro świt, i natychmiast po śniadaniu wyruszał het, aż pod las na łąkę, z całym stadem bieluchnych gąsek dworskich, których był pastuchem. Za ten obowiązek dostawał od

Dodatek do N. 37, 1891 r.

dziedziczki stare ubranie po paniczu, a od dziedzica czasem jeszcze do tego ze dwa złote w miesiącu, za które matka kupowała mu na jarmarku to czapkę z barankiem na mrozy, to ciepły szalik. I wszystko byłoby szło jak najlepiej gdyby nie jedna wada, która odejmowała wiele jego dobrym zaletom, a wadą tą było łakomstwo. Nie mógł przejść koło ogrodu pańskiego, żeby nie urwać bodaj jakie zielone jabłko, a kiedy już, będąc zdala od sadu nie miał do tego okazji, wyrwał pokryjomu galare-

pę lub marchew z grzędzy przed chłopską chatą, i delectował się niemi jak gdyby nic nad to nie było lepszego na świecie. W czeladnej, zwłaszcza w niedzielę, skoro na obiad matka dała kluski z makiem, lub powidlanę w poście, potrafił zjeść za dwóch dorosłych, tak lubił wszelkie dobre rzeczy. Parobcy i dziewczęta wyśmiewali go też nieraz i nazywali łakomcem, ale on wtedy czerwienił się cały, zasłaniał oczy rękawem, a drugą ręką sięgał do misy i pełną łyżkę niósł do ust nie chcąc tracić chwili czasu. I został by był może całe życie takim łakomcem gdyby nie jeden szczęśliwy, czy też nieszczęśliwy, jak to osądzicie sami, wypadek, po którym Franuś pozbył się już raz na zawsze swej brzydkiej wady.

Było to któreś soboty, kiedy mały pastuszek powracając na południe ze swem stadem, i przechodząc nie daleko dworu spotkał panicza.

— Franusiu! — zawołał tenże zdaleka — mam dla ciebie buty, przyjdź więc po nie po obiedzie. Są już trochę podniszczone ale mama pozwoliła mi je tobie ofiarować, bo mi żal że chodzisz boso, a już jesień nadchodzi i zimno... przyjdź więc do kredensu, to je dostaniesz!...

Franuś zaczerwienił się z radości, pocałował w rękę panicza, chociaż ten mu jęj nie dawał, i obiecał że jak tylko zje obiad, przyjdzie. I słowa dotrzymał święcie, bo jeszcze wszyscy siedzieli w kuchni jak wymknął się cichutko i pobiegł bocznym gankiem do kredensu. Przed gankiem potknął się o koszyk z marchwią, przygotowaną dla kucharza, ale ponieważ nie pogardził nigdy niczem, wsunął sobie kilka za koszulę na potem, i za chwilę był już w kredensie. Nie było tu żywej duszy, więc postanowił poczekać i wsunąwszy się w kącik jął rozmyślać, spoglądając na swoje boscie nogi, jak to on paradnie wyglądać będzie w butach panicza. Rozmyślał tak czas jakiś aż znudziło mu się wkońcu długie oczekiwanie i podniósłszy głowę, zaczął się rozglądać dokoła siebie po całym kredensie. Nagle aż podskoczył. W drugiej połowie pokoju stała roztwarta wielka szafa, a głęboko w niej półki zastawione były całe różnemi garnkami i słojami, które wyglądały pozawiązywane pęczkiem, bardzo nęcąco. Przez szkło rozpoznawał w nich nawet powidła, miód, borówki, na talerzyku bielili się bryła sera...

— A gdyby tak spróbować odrobinę czego? — przyszło mu na myśl. — Było cichutko, niczyje kroki się nie zbliżały. Zawahał się, potem nagle poskoczył, przystawił sobie taboret, i w jednej chwili znalazł się w szafie. Marchew, którą miał wypchaną koszulę, zawadzała mu, więc wyrzucił ją czempredzję i pochwyciwszy leżącą obok łyżkę zagłębił ją w najbliższej stojącej miseczce napełnionej brunatną masą, która mu się wydała bardzo apetyczną. Nabrał pełną łyżkę, śpiesznie poniósł do ust, i już, już połykał, gdy wtem, drzwi się otworzyły a w nich ukazała się gospodyni, której wnuczka Różia spostrzegłszy natychmiast co się dzieje, roześmiała się na głos i palcem wskazując Franusia, zawołała:

— O, łakomczuch!!...

Było tyle szyderstwa w jęj głosie, że Franuś mógłby był spalić się zewstydu gdyby je był dosłyszał, ale

w tej chwili całkiem innego jak wstyd doznawał uczucia. W ustach i gardle coś go gryzło, szczypało, dusiło, bo niestety nie były to powidła których połknął całą, pełniuteńką łyżkę, tylko... obrzydliwe szare mydło, które służąca przygotowała sobie przed chwilą do mycia podłogi!... Ile cierpiał, i jakie smutne sprowadził sobie skutki swoim łakomstwem biedny Franuś, trudno to opisać.

Na domiar złego, za karę, nie dostał na prośby matki od panicza butów, aż w miesiąc później, a nieubłagana Wojciechowa dowiedziawszy się jeszcze o wszystkim szczegółowo, wymierzyła mu karę jakiej jeszcze nigdy dotąd nie otrzymał. Ale od tego czasu Franuś na powidła, a nawet na miód i marchew, jako mające poniekąd łączność ze sobą, w smutnem jego wspomnieniu, ani chciał spojrzeć, a pozbywszy się taką wielkiej i głównej swej wady, został co się nazywa „porządny chłopcem”.

V. Cairo.

OWIECZKA.

Młoda owieczka, jak śnieżek biała,
Na koniczynę wybiegłszy w pole,
Koziołki ciągle tam wywraçała,
Lubiąc za domem różne swawole.

Choć na owieczkę matka jęj woła:
„Moja córuniu, bądźże ostrożna!
Widzę, że jesteś nadto wesoła...
Słuchaj! nieszczęście łatwo mieć można.”

Ale wesoła owieczka mała
Lekceważyła matki przestrożę;
Przez wielki kamień przeskoczyć chciała.
Brzdęk! — nieboraczka złamała nogę.

Otóż kochane, dobre córeczki!
Nie naśladowcie płochęj owieczki;
Bo kto nie słucha przestroż mamusi,
Ten potem gorzko żałować musi...

T. N.

MOJE DZIECI,

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY

P. **A. Do.**

I.

Budowa zamku. — Nic to mamó... to dziecko. — Grad. — Dwuznaczniki.

Korzystając z serdecznych zaprosin wujenki Karolowej, zabrała mama wszystkie dzieci i wyjechała na całe dwa miesiące do Topolówki.

Nie będę wam opisywała radosnych okrzyków przy powitaniu, śmiechów, całusów, pytań bez końca; wiecie z własnego doświadczenia jak to bywa, gdy się kilkoro dzieci zejdzie po długim niewidzeniu. Michaś i Lili nacieszyć się nie mogli nadzieją spędzenia całych wakacyj z Jerzym, Stasiem i Helenką; nasza zaś trójka, (bo małej Maryni tu nie rachuję) wpadała co chwila w zachwyce-

nie, znajdując na wsi mnóstwo rozrywek mieszkańcom miast nieznanym.

Ponieważ blisko domu nie było ani rzeki, ani stawu, ani psów złośliwych, przeto po naradzie z wujenką, mama pozwoliła dzieciom biegać swobodnie i bawić się bez dozoru, pod warunkiem, że poza obręb zabudowań dworskich, nigdy się nie oddalą. Korzystając z wolności, bawiły się dzieci po całych dniach na świeżym powietrzu.

Między stajniami a stodołą znajdowała się ogromna stara szopa; służyła ona dawnym właścicielom Topolówki za suszarnię chmielu; ponieważ jednak wuj Karol chmielu nie uprawiał, szopa od lat blisko dwudziestu stała pustką, coraz bardziej chyląc się ku ziemi. Co roku miano ją zburzyć, ale zawsze znalazło się coś ważniejszego w gospodarstwie do roboty; czas upływał, deski próchniały, dach zielonym mchem porastał i stała sobie starowina między nowymi stodołami, jak żebrak co do domu przyszedł po jałmużnę.

W tym to opustoszałym budynku, najlepiej się dzieci bawić lubiły; można tam było bowiem rozmaite gry urządzać. Raz był to cyrk, gdzie się popisywano z rozmaitemi sztukami; młodsze dzieci były końmi a starsze tresowały je, uczyły galopować, klękać, dęba stawać, przez drążki przeskakiwać. To znowu grywano teatr, to odprawiano indyjskie nabożeństwa z tańcami, czy ja wiem zresztą co więcej, to pewna, że fantazyi dzieciom nie zbrakło. Jednego dnia, gdy upał nieznośny dokuczał od samego rana, Jerzy zawołał całą gromadkę do siebie i rzekł:

— Powiem wam, co za wyborna myśi przyszła mi do głowy: pójdziemy do suszarni, bo tu straszne gorąco a tam cień i chłodek; po drodze zbierajmy kamienie i drewna, wybudujemy ogromny zamek, na wzór Tencyńskiego. Dobrze?

— Wybornie! Doskonale!

— Dalej do roboty!

I nie zważając na gorąco, na które się przed chwilą tak uskarżały, rozbiegły się dzieci na wszystkie strony, zbierając kamienie, kawałki cegieł, patyki, trzaski, i znosząc to wszystko do suszarni. Gdy już dostateczną ilość materiału na środku szopy złożono, rozpoczęła się budowa. Kamyczek do kamyczka, cegiełka do cegiełki, w braku wapna rozrobiono wodę z ziemią w szczerbatym garnku, który Michaś znalazł na śmieciisku. Budowa szła rażno i wcale niezłe: mury zlepięte błotem obiecywały trzymać się jako tako; od północy i wschodu coś nakształt baszt obronnych sterczało trochę wyżej; z pręcików porobiono belki, nad niemi zaciągnięto dach śpiczasty, słowem, pięcioro małych robotników ukleciło w dwóch godzinach coś... niby piec do wypalania cegły niby budkę dla psa, a co w szlachetnym zaślepieniu mianem starożytnego zamku ochrzczono.

— Wiecie co?—rzekł Staś, cofając się o kilka kroków, by lepiej objąć okiem wspólne arcydzieło. — Ten zamek jest bardzo ładny, ale do jutra nie wytrzyma: jak tylko glina wyschnie, to pewno się cała buda przewróci.

— E... nieznośny jesteś — oburzyła się Lili. — Takeśmy się cieszyli naszą robotą, tak nam się zgrabnie

udało, a ty zaraz przepowiadasz koniec świata, jak ten Jonasz... Zobaczysz, wieloryb cię zje! — dodała śmiejąc się, bo dobre serduszek nie pozwoliło jej nigdy gniewać się długo.

— Co tam... niech sobie gada — przerwał Michaś — jak zobaczymy, że się psuć zaczyna, to zrobimy napad Tatarów; zrównamy zamek z ziemią i będziemy mieli nową zabawę.

— A prawda; niech żyje Michaś!

— Teraz idźmy się trochę umyć i otrzepać, bo z takimi zabłoconymi rękami trudno się pokazać przy obiedzie.

— A ty Jerzy, to nawet wąsy i brodę masz z gliny!

— Doprawdy? Aha... mucha mi pod nosem laziła, podrapałem się i powalałem... Ale to nic, chodźmy się umyć.

I na wyścigi, kto prędzej, skoczyły dzieci do pralni gdzie z pomocą Marcinowej, sukienki, buzie i rączki do należytego wróciły porządku. Starsze dzieci pobiegły do ogrodu, bo Józef dopiero za godzinę dać obiad obiecywał, a Michaś z Helenką szli powoli razem, trzymając się za rączki.

Przed kuchnią, w cieniu krzaku jaśminu, stał spory koszyk, przykryty białym płótnem.

— Nie wiesz Michasiu, co tam jest? — spytała Helenka.

(d. c. n.)

SZARADA.

Ułożył Gwoździk.

Pierwsza z trzecią w futrach będzie,
Druga na wspak w liter rządzie,
Wszystko owoce, przez pół rumiane,
Jak gdyby były pomalowane.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: A—a—den—do—do—gol—ha — in — me — le — ło — nan — pian — ra — ro — sa — sty — stadt — sło — to — testyst — wik — wo — utworzyć wyrazy: 1. Ptak z rodziny śpiewających. 2. Miasto w Hiszpanii. 3. Port i forteca w Arabii. 4. Miasto we Francji. 5. Forteca nad Dunajem. 6. Największa pustynia. 7. Roślina pospolita z rodziny złożonych. 8. Kamień cenny należący do kwarców. 9. Nazwa działu roślin o najprostszej budowie. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na gół, utworzą dwa imiona męskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Zadania konikowego:

Anioł stróż się bardzo smuci,
Gdy złe z dobrem w nas się kłóci.

E. M.

Skrzynka do listów.

Prymulka dlatego nie otrzymała w porę żądanych objaśnień, że mimowoli w błąd nas wprowadziła pisząc na papierze z nie swoim adresem. Prosimy, aby należała do konkursu dla chłopców i napisała coś na zadany im temat, gdyż mamy już i inne panienki, które do niego należeć będą, a nowego wcześniej nie możemy ogłaszać. Daliśmy już w Wieczorach przepis suszenia kwiatów Świteziance z nad Męciny, zechciej więc go odczytać. O przysłanie powiastki do przejrzenia prosimy.

Dziewanna nie omyliła się w przypuszczeniu; dziękujemy za akuratność w zwróceniu kartki, o której sądziliśmy, że ją wysłałaby pod właściwym adresem. Akuratność w codziennych drobnostkach życia zapobiega tyłu trudnościom i tyle czasu oszczędza, że więcej jest niż przymiotem: cnotą nieledwie nazwać ją można.

K. niech przyśle powiastkę; obiecujemy ją przeczytać, nie przyrzekamy wszakże, że drukować będziemy utwór tak młodocianego pióra — w ogóle bowiem jesteśmy zdania, że pierwej nazbierać sobie trzeba zapas myśli i wiadomości, a potem dopiero dzielić się nimi z drugimi i to wtedy tylko, gdy się ma odpowiednie ku temu zdolności, z którymi rodzi się wprawdzie człowiek, ale je pracą w sobie rozwija. Nie znamy innego sposobu zasuszania motyli. „Niezgodni królewicze” są pióra p. Zaleskiego.

Janince K. wysłaliśmy powtórnie żądane numera, lecz nie rozumiemy przyczyny nie odbierania pisma. Jest to już zapewne wina miejscowej poczty.

Bystry Koń dobrze rozwiązał szaradę, ale łamigłówkę ułożył za łatwą; niech wymyśli coś trudniejszego.

W imieniu nieobecnej Gołąbki dziękujemy **Brzózce białej** za pamięć o ubogich dzieciach.

Liścik twój kochana **Balladyno** umieścimy, co zaś do „Rozmowy ze starszą siostrą” ta dla nas się nie przyda mamy bowiem osoby, których prace w tym kierunku stale umieszczamy.

Kochane Panienki! Od roku należę do korespondentek **Wieczorów**, a żadna z was nie napisała do mnie. Na imię mi Ludmiła, jestem jedynaczką, mam lat 10, uczę się w domu. Z nauk najlepiej lubię historję naturalną i geografję; lubię też bardzo muzykę. Ze wszystkich powieści w **Wieczorach** najlepiej podobała mi się „**Druga matka**”. Kocham bardzo nasze piśmko, jak również i was, moje drogie siostrzyczki, i proszę o prędką odpowiedź. *Goryczka*

Kochana **Macierzanko!** Przeczytałam twoję odezwę. Donoszę ci, że bardzo lubię się uczyć i czytać, a szczególnie nasze kochane **Wieczorki**. Mam lat 12, mieszkam na wsi z rodzicami, nauczycielką i dwoma starszemi siostrami. Całuję cię serdecznie, odpisz siostrzyczko kochana, czy chcesz korespondować z kochającą cię *Dziewoją*.

Droga Biała Perełko! Pisząc do ciebie byłam w obawie że mi nie odpiszesz. Wyobraź więc sobie jak byłam uradowana z twego liściku. Nazwisko moje zaczyna się od S., mam tylko jedną siostrę, muzykę lubię choć sama nie gram. Nie zapominaj o mnie. *Junona*.

Miluchna Czubata Kokoszko! Pragnę do ciebie pisywać, gdyż bardzo lubię kokoszki, a szczególnie czubate. Donieś mi co o sobie? Ja mam tylko pięciu braci, jestem najmłodszą, mieszkam w mieście gdzie żadnej nie znam panienki w moim wieku. Odpisz mi prędko. Ściskam cię wraz z Lilijką, Prymulką, Królową Wrózek, Pąsową Różą i Gałązką Heliotropu. Wasz *Biały Motylek*.

Droga Muszelko z nad Bohu! Jak ci na imię, mnie **Ewnia**, zaczęłam dziewiąty rok. Mam siostrzyczkę półtoraroczną. W zimie dużo czytam, w lecie więcej biegam po ogrodzie. Czy mieszkasz na wsi czy w mieście? Ściskam cię i proszę o odpowiedź *Kukulka Teplicka*.

Kochana **Różowa Stokrotko!** Bardzo ucieszyłaś mnie swoim

liścikiem. Nazywam się **Józia**, mieszkam na wsi i uczę się w domu. Czy będziesz należała do konkursu wakacyjnego? Ja chcę koniecznie uszyć ubranie dla biednej jakiej dziewczynki. Pisz do mnie droga **Anusiu**. Ściska cię *Jaskółka z nad Tykicza*.

Niezmiernie się ucieszyłam z twego liściku droga **Kometo**. Jesteś **M. Szym.**, mieszkasz na wsi w **K.** Czy zgadłam? Pracę, za pozdrowienie ściskam. Jak ci na imię? Serdecznie ci dziękuję miła **N.** za odezwę. Donieś mi w jakich okolicach mieszkasz? Ściskam was serdecznie. Odpiszcie jak najprędzej *Gałązce Heliotropu*.

Malinę z nad Wisły, Sosnową Igiełkę i Gałązkę Rezedy pozdrawiam serdecznie.

Droga Pieszczotko tatusia! Bardzo bym była rada z twego liściku. Mam lat 10, na imię mi **Ludka**, mam tylko jednego braciśka **Ola**. Donieś mi co o sobie. Ja mieszkam na wsi i uczę się w domu, najlepiej lubię muzykę, zoologję i geografję, a ty co? Całuję cię serdecznie, również **Figlarkę z nad Liwca** i maleńkiego **Jasia**. *Pierwiosnek Ukraiński*.

Kochana **Szarotko Tatrzańska**. Donieś mi coś o sobie. Jeżeli jesteś na pensyi u p. J. to ucałuj odemnie **Maniusię M.** Ściska cię *Konwalia leśna*.

Kochana **Janko, Horpyno i Czarnooka z puszczy!** Janko, dziękuję ci za twój liścik. **Horpyno**, ile masz lat? Co ci się najwięcej w **Wieczorach** podoba? **Czarnooka**, czy dawno już czytujesz **Wieczory**? Ja dopiero w tym roku. Czy znasz „**Drugą Matkę**”, bardzo mi się podoba. Proszę cię o odpowiedź. *Brunetka*.

Omyliłaś się kochana **Syreno** z fal wiślanych, gdyż my z **Boginką z nad Łydyni** nie jesteśmy wcale siostrami; mieszkamy w **Warszawie**. Mimo to chętnie będziemy z tobą korespondowały. *Barwinek i Boginka z nad Łydyni*.

Kochana **Stokrotko z nad Pilicy!** Nie domyśliłaś się kim jestem, bo mieszkam na **Żmudzi**, a moje nazwisko zaczyna się od **G.** Bliższych o mnie szczegółów możesz się dowiedzieć z listu do **Góralki**, w **N-rze 14**. Donieś mi nawzajem co o sobie. *Czterococzka*. *)

Kochana **Chmurko złocista!** Stosownie do twojej prośby piśzę do ciebie. Mam lat 11, mieszkam na **Wołyniu**. Ściskam cię wraz z **Dumką tęskną i Kujawianką**. *Trójkolorowa Koteczka*.

Kochana **Kujawianko!** Jesteś moją imienniczką i tylko o rok starszą. Czy jak ja lubisz grać w piłkę? Lubię też pisać po dyktowaniu i śpiewać. Proszę odpowiedz twojej *Basiulce*.

Kochana **Macierzanko, Iskro z W., Biała Ostróżko Nocy księżycowa, Gałązko Heliotropu i Artystko!** Pragnęłabym bardzo zaprzyjaźnić się z wami i w tym celu zaczynam korespondencję. **Macierzanko droga!** czy nie jesteś **Marysieńką L.**? **Iskierko, Ostróżko i Nocy księżycowa!** jakie są wasze imiona? **Gałązeczko miła**, jakie nauki najlepiej lubisz? **Artystko kochana!** gdzie przepędziłaś lato? Donieś mi proszę jak ci na imię i wypisz pierwsze litery twego nazwiska. *Złota Pszczółka*.

Kochana **Pieszczotko Tatusia!** Spełniam twoje życzenie piśząc do ciebie. Donieś mi gdzie mieszkasz i uczysz się? Ja uczę się w domu ze starszą siostrą. Obecnie mam wakacje. Proszę cię donieś mi coś o sobie i odpisz prędko życzliwój ci *Artystce*.

Lube moje siostrzyczki: **Poranku majowy, Lilijko z nad Bzury, Kwiecie Łotosu, Czarnooka z puszczy, Praco, Gwiazdko na Zachodzie, Bluszczu, Chmurko złocista, Złota Przędzo, Pedantko z nad Nidy i Trójkolorowa Koteczko!** Czemże ja sobie zasłużyłam na wasze liczne i tak serdeczne liściki? Chyba że przeczuwacie, jak wielką niemi sprawiacie radość siostrzyczce. Chętniebym odpowiedziała każdej z was osobno długo i szeroko, lecz coby na to rzekła **Redakcja** naszych lubych **Wieczorów**? I tak się lękam, iż mój liścik, jeżeli nie w morzu atlantyckim, to w koszu redakcyjnym utonąć może. Więc przyjmcie wszystkie razem serdeczne odemnie uściski i dzięki za pamięć. *Brzydotka z nad Tamizy*.

*) Drugiego liściku nie drukujemy, donosiliśmy nieraz że dwóch na raz od jednej osoby nie pomieszczamy.